

NA SKRAJU MAGII

Milena Dzikowska

NA SKRAJU MAGII

Milena Dzikowska

Na skraju magii – Milena Dzikowska

Copyright © by Milena Dzikowska, Warszawa 2025

Copyright © by Wydawnictwo vandom

Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autorki i wydawnictwa. Żaden z elementów tej książki nie powstał przy użyciu sztucznej inteligencji

Redakcja i korekta po składzie: Vanessa Moździerz

Korekta: Agnieszka Kolenda

Korekta uzupełniająca: Anna Prejs

Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)

Okładka: Aleksandra Wachulik

Grafiki wewnątrz: Vanessa Moździerz

Wydanie I

ISBN druk: 978-83-971733-7-8

ISBN e-book: 978-83-971733-8-5

Wydawnictwo vandom

www.wydawnictwo.vandom.pl

www.instagram.com/wydawnictwo_vandom

www.facebook.com/wydawnictwovandom

www.tiktok.com/@wydawnictwo_vandom

Mateuszowi,

*dzięki Tobie moje życie
to najlepsza opowieść, jaką znam.*

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

— Dostałeś kiedyś w niewyparzoną gębę tak, że zęby wyskoczyły ci tyłkiem?

Shep nie zdążył odpowiedzieć, bo na jego głowę już spadło pierwsze uderzenie wyszczerbionej pałki. Po rozbieganych oczach i pasudnie wykrzywionej mordzie stwierdził, że wściekły strażnik ma nierówno pod sufitem. Najgorszy typ. Nigdy nie wiadomo, czy w szale nie zamorduje swojej ofiary. A Shep był ofiarą. I obawiał się, że zostanie nią już do końca życia.

Jeszcze jeden unik. Pudło. Pałka świsnęła tuż obok jego głowy. Drugi unik. Niestety tym razem zbyt wolno. Shep poczuł przeszywający ból w prawej części głowy, a po jego szyi spłynęła ciepła strużka krwi. Szlag, dlaczego musiał walczyć? Nie był wojownikiem, tylko uzdrowicielem trzeciego stopnia. Nie powinien niezdarnie unikać ciosów. W ogóle nie powinien tu być.

Padł na ziemię i przetoczył się na bok, o ułamek sekundy unikając kolejnego uderzenia pędzącego na jego nieco orli nos, który po kontakcie z pałką z pewnością upodobniłby się do zgniecionej bulwy. Jego naprawa wymagałaby wielu tygodni, chyba że trafiłby pod skrzydła mystokraty albo uzdrowiciela pierwszego stopnia. Ale to już raczej nie w tym życiu.

— Wystarczy!

Polanę wypełnił dźwięczny głos. Shep ostrożnie uniósł głowę, niepewnie odsuwając drżące dłonie od twarzy. W ich kierunku

zmierzał mężczyzna odziany w powłóczystą czarną szatę, na kapturze i połach obszytą topazami w ciemnoczerwonym kolorze. Na jego piersi spoczywał potężny wisior z wytłoczonym wizerunkiem króla.

Fedris. Świetnie. Zapowiadała się jeszcze większa jatka.

Shep usiadł na gołej ziemi, co uznał za jeden z największych sukcesów feralnego dnia. Fedris przystanął kilka kroków przed nimi. Przeszył strażników zimnym, czujnym spojrzeniem, a w odpowiedzi tamci zbili się w ciasną grupkę. Byli wystraszeni niczym stado nieopierzonych kurczaków na widok wygłodniałego wilka. Nic dziwnego, że bali się najpotężniejszego mystokraty w królestwie. Shepowi po plecach przebiegły ciarki.

— Chcecie go zabić? — syknął Fedris. Miał aksamitny głos, posągową twarz i lśniące czarne włosy wpadające w odcień granatu, ale Shep wiedział, że wyjątkowa uroda bywa zwodnicza. W końcu niebo przed burzą też zawsze jest błękitne.

— Wielmożny... — wydukał nieśmiało szurnięty strażnik. — Szamotał się, wyrывał, chciał mi w zęby dać. My tylko lekko, nie dostał mocno...

— Wystarczy — uciął Fedris. Leniwie przeniósł wzrok na Shepa. Obsydianowe tęczówki załśniły. Shep skurczył się w sobie. Te oczy były jak czarna noc. Mroczne, tajemnicze, nieprzeniknione. — Odejdźcie, zaprowadzę nowego do obozu. I tak idę do placówki mystokratów.

— Oczywiście, Wielmożny, oczywiście. — Strażnik o szalonym spojrzeniu pokłonił się nisko, a w jego ślady poszło dwóch pozostałych. Potykając się o własne nogi, cofali się ze spuszczonymi głowami, pochrzäkując przy tym niewyraźnie.

Kiedy zniknęli z zielonej polanki, Fedris zbliżył się do siedzącego na ziemi Shepa. W ciemnych oczach mężczyzny zamigotały złote ogniki, założył ręce za plecami i spojrzał na uzdrowiciela z góry.

— Witamy specjalnego gościa — rzucił drwiąco. — Twój ojciec na pewno byłby dumny, widząc cię tarzającego się po ziemi. Chociaż powinien się cieszyć, że w ogóle żyjesz.

Starannie wymierzona porcja drwiny.

Shep znał Fedrisa od lat. Na tyle długo, by nie sikać w portki na jego widok jak co niektórzy. Ale każda rozmowa z Wielmożnym zdawała się niepokojąca, przypominała stąpanie po cienkiej warstewce lodu, pod którą kotłują się wygłodniałe drapieżne ryby, a wśród nich postrach oceanów w każdym zakątku świata — paradosy o długich kłach.

— Świetnie... — Shep spróbował się podnieść, jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa i znowu klapnął na tyłek. Poczul się upokorzony. Prawie jak dziecko, które ukradkiem spałaszowało zakazane słodkości, a teraz jest strofowane przez ojca tyrana.

— Król Derek okazał się nazbyt łaskawy, nie skazując cię na śmierć — kontynuował Fedris. — Gdyby twój ojciec na kolanach nie wybłagał go o łaskę, pewnie twoje oczy byłyby już dziobane przez kruki. A swoją drogą to był naprawdę przyjemny widok. Twój ojciec się płaszczył — wyznał radośnie. Na twarzy o nieprawdopodobnie regularnych rysach wykwitło zadowolenie.

Gorąca krew uderzyła Shepowi do głowy. Wiedział jednak, że najlepiej będzie, gdy zasznuruje usta. Na myśl o ojcu zrobiło mu się słabo.

— Masz szczęście, że twój ojciec piastuje stanowisko najważniejszego uzdrowiciela pierwszego stopnia na królewskim dworze... — Fedris doskonale się bawił. — Gdyby twoja matka dawno nie leżała pod ziemią, pewnie umarłaby z rozpaczy. Ale w sumie i tak ją zabiłeś ponad dwadzieścia lat temu, wychodząc z jej łona...

Trafiony.

— Jak śmiesz... — Shep miał wrażenie, jakby fala nienawiści wyłała się z niego niczym zupa z wrzącego kotła. Wiedział, że pożałuje

tych słów, ale nie dbał o to. Teraz najchętniej objąłby szyję Fedrisa dłońmi, wbił palce w gładką śniadą skórę, po czym patrzył w gasnące oczy...

Uderzenie bólu było tak potężne, że Shep się zachłysnął. Zacharczał, ciało zapłonęło mu od opuszków palców u stóp po czubek głowy. Wiedział, że nie trawi go ogień, to tylko magia, ale w żaden sposób ta świadomość nie osłabiła cierpienia. Fedris należał do Gildii Wielmożnych, czyli najpotężniejszych, którzy władali wszystkimi mocami — żywiołów, ducha i ciemności. Mystokrata właśnie uraczył go dawką energii ducha i to ponadprzeciętnie silną.

Shep po chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, poczuł, jak jego ciało opuszcza ostatnia fala gorącego bólu. Świat nie runął, o dziwo. Nad głowami nadal wisiało złote słońce, soczyście zielona trawa aż raziła w oczy, zwłaszcza gdy podziwiała się ją z perspektywy gleby, a ciepłe powietrze drażniło nozdrza zapachem konwalii.

Skulony, jak zza mgły spojrzął w stronę Fedrisa, nadal otoczonego złotą mgiełką sunącą już w stronę ziemi. Przeszywające uderzenie bólu było złudne, mystokrata wbił mu je do głowy, ale to nie zmieniło faktu, że Shep czuł trawiący ogień w każdym zakamarku ciała. Magia ducha bywała podstępna.

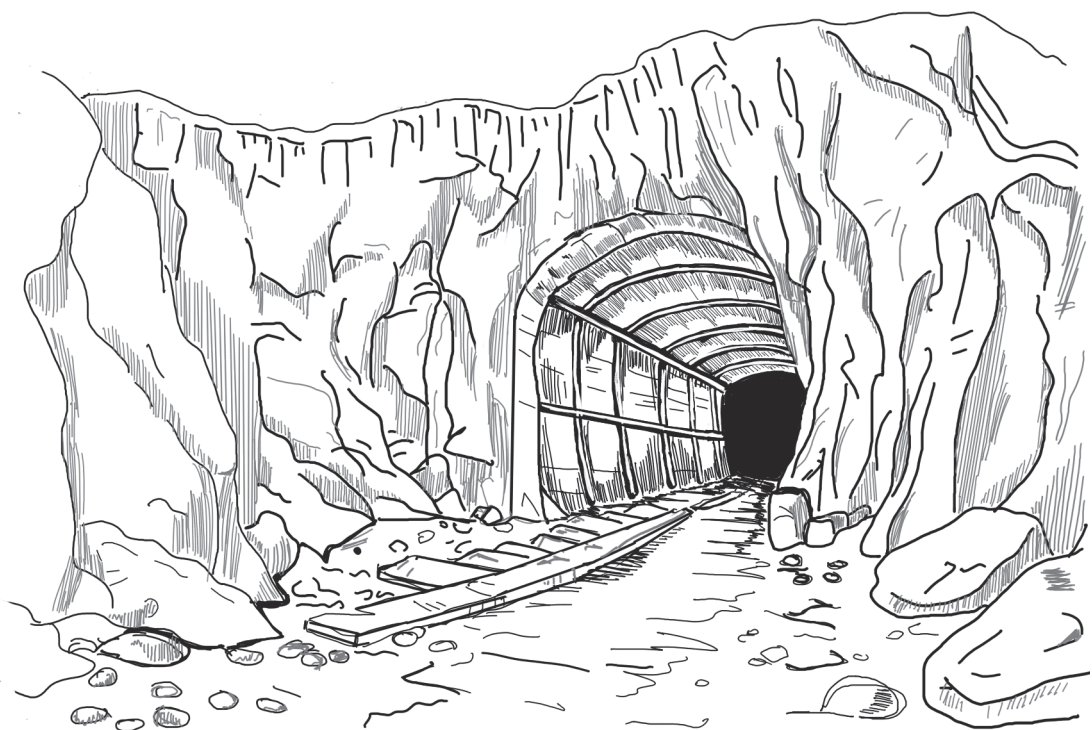
Usiadł ostatkiem sił. To nie był dobry dzień. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek uda mu się znowu stanąć na nogach. Udało się, bo mystokrata niedbałym kiwnięciem dłoni poderwał uzdrowiciela do pionu. Złota mgiełka znowu zatańczyła wokół Wielmożnego, po czym miękko rozplynęła się w powietrzu.

— Nie mamy całego dnia. — Fedris poprawił mieniące się w słońcu topazowe poły płaszcza. — Pójdiesz za mną do obozu, chwycisz za kilof i ruszysz do pracy. — Wielmożny uśmiechnął się samymi wargami. — Już nie jesteś na dworze. Prośby twojego ojca nie mają znaczenia. Tutaj jego wpływ nie sięga. A król rozkazał mi osobiście dopilnować, żebyś nie zaznał nudy.

Shep wziął głęboki wdech, wypuścił go z cichym sykiem i z trudem zrobił pierwszy krok. Miał wrażenie, jakby przebiegło po nim stado ogromnych drapieżnych tyraków, podeptało go swoimi sześcioma umięśnionymi łapami. Po chwili namysłu stwierdził, że ich łuskowate cielska i zakrzywione rogi mogłyby wyrządzić mu mniej szkody niż stojący naprzeciwko mężczyzna.

Przepełniony wgryzającym się w trzewia buntem, podążał za mystokratą. Tym razem jednak milczał. Nigdy nie lubił Fedrisa, na którego widok drżeli nawet szlachcice z bliskiego otoczenia króla. I nic dziwnego, bo Najwyższy Wielmożny był szalenie nieprzewidywalny. W krainie słynął z wymyślnych tortur organizowanych na oczach ludu. I chociaż Fedris nazywał swoje widowiska sprawiedliwością, mieszkańcy zmuszani do ich oglądania mieli inną nazwę — okrucieństwo.

To był piekielny dzień, jeden z tych, które człowiek upycha w czeluściach świadomości i zasypuje tonami przyjemniejszych wspomnień. Shep czuł jego ciężar całym sobą, tym bardziej gdy na drżących nogach podążał za Fedrisem do nowego domu. Najgorszego obozu w parszywym kopidołku, w którym niechybnie umrze za kilka dni. Rok pięćset siedemdziesiąty drugi Równowagi Bogów zaczął się dla niego, łagodnie mówiąc, do dupy.



ROZDZIAŁ 2

Skazańcy nazwali to miejsce kopidołkiem i tak już zostało.

Pasowało idealnie, biorąc pod uwagę to, że większość więźniów koniała tutaj po kilku miesiącach. Shep wiedział jedynie, że kopidołek to wielomilowe więzienie na górzystym terenie, w którym mieszczą się liczne obozy pracy. Wiedział też, że ten dziki obszar zamieszkują gołemy, a chodziły nawet słuchy, że były tu również ogniste quaslady, które ponoć można dostrzec hen, hen na niebie, jeśli dobrze wyteży się wzrok. Mgliście pamiętał, że najgorszym obozem w kopidołku nazywano ten wydobywki złotego kruszcu. I właśnie w nim wylądował. To tutaj harowali skazańcy mający na karku najcięższe zbrodnie i to tutaj prognozy zdawały się jeszcze gorsze — większość umierała po kilku tygodniach.

Czy kiedykolwiek przypuszczał, że zostanie wrzucony do jednego wora z mordercami i gwałcicielami? Oczywiście, że nie. A jednak właśnie przestąpił próg lichej, pokrytej mchem chaty z dziurawym dachem, w której znajdowały się spleśniały materac, urwana noga ze stolika i taboret ze spróchniałego drewna. Gdy szedł do nowego lokum, zewsząd ścigały go gwizdy i pokrzykiwania. Szedł sztywno, ze wzrokiem wbitym w plecy strażnika i nie rozglądał się na boki.

Opadł na posłanie, rzucił spojrzenie na drżące dłonie, po czym nerwowo przesunął nimi po karku. Niegdyś rzadko miał okazję słuchać głośnego łomotania własnego serca galopującego niczym rozwścieczony tyrak. Ostatnio jednak towarzyszyło mu codziennie, od momentu, w którym został przyłapany. Przypomniwał sobie

miękki jak aksamit dotyk pościeli, zdziwiony krzyk Lilet, ruch jej nagiego ramienia, mignięcie królewskiego pierścienia na palcu...

— Królewicz rozgościł się w komnacie? — Do nowego lokum Shepa wślizgnął się przygarbiony mężczyzna. Kępki rudych włosów sterczały mu na głowie niczym spalona słoma, a długi nos lśnił od potu.

— A coś ty znowu za jeden? — Uzdrowiciel zerwał się z posłania. Jeszcze nim dokończył pytanie, już wiedział, że stoi przed nim kolejny strażnik obozu. Na napierśniku i na nałokcicach ujrzał kolor krwistej czerwieni przeplatany odcieniami złota. Królewskie barwy.

— Oczywiście twój oddany sługa, gotowy na rozkazy jaśnie pana — odburknął tamten z przekąsem. Zmierzył więźnia wzrokiem, a następnie siarczyście splunął na środek wilgotnej podłogi. Gęsta ślina zachybotała się, po czym znieruchomiała.

Shep poczuł, jak znajoma fala złości zalewa mu wnętrze.

— Zabieraj kilof i ruszaj, nie przyszedłeś tu leżeć i pierdzieć w gacie. — Rudy strażnik machnął ręką i zmarszczył krzaczaste brwi.

Shep zmierzył mężczyznę przeciągłym spojrzeniem i ociężale ruszył w kierunku wyjścia. Nie był przyzwyczajony do ciężkiej pracy, a tym bardziej do wymachiwania kilofem! Przecież tym zajmowali się rośli chłopci, którzy od małego byli uczeni jak ubrudzić sobie ręce i siłą własnych mięśni zarabiać na chleb. Ale w kopidołku robotą zajmowali się wszyscy więźniowie. Za darmo. A on, chociaż jeszcze całkowicie tego nie przyswoił, od dzisiejszego dnia należał do grona skazańców. Z każdą chwilą utwierdzał się w przekonaniu, że jego dni są policzone. Jakie w ogóle miał szanse, by przetrwać w tym nieznanym piekle?

Gdy przekraczał próg, krótkie rozmyślenia przerwało nagłe uderzenie w plecy. Bezwładnie runął na ziemię. W ostatniej chwili próbował jeszcze ochronić się przed upadkiem, wyciągając do przodu prawą rękę, lecz nie zdołał się na niej wesprzeć i policzkiem

przesunął po wymieszanym z ostrymi kamyczkami piasku. Poczuł pieczenie przedramienia i twarzy. Cisza. Powoli uniósł głowę i poczuł lepkie ciepło na poharatanym policzku. Znowu krew. Jego dzień obficie nią spływał.

Czasami człowiek nie wie, ile ma w sobie złości. Shep zawsze był impulsywny, ale nigdy by się nie spodziewał, że jego wnętrzości skręci fala wściekłości bezkresna jak ocean. Usłyszał za plecami chichot strażnika.

Dość.

Zerwał się i rzucił na rudzielca. Zaskoczony strażnik runął jak długi na plecy. Chociaż Shep rzadko miał okazję dać komuś w mordę, ochoczo zwinął dłoń w pięść i zamachnął się szeroko. Nagle poczuł, jak jego ręka nieruchomieje w powietrzu zatrzymana w stalowym uścisku.

Gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał nad sobą barczystą postać, której orzechowe oczy przeszywały na wskroś zimnym spojrzeniem. Młody człowiek miał na sobie zbroję w czerwono-złoty królewskich barwach, a na nią narzucony płaszcz w krwistym odcieniu.

— Wystarczy — wycedził. Podniósł Shepa jedną ręką, gwałtownie ustawiając go do pionu. — Falko, ty idioto — wysyczał w stronę rudego strażnika, na którego twarzy wykwitło zmieszanie. — Ile razy mówiłem, że masz nie ruszać więźniów? Lecisz stąd w podskokach i żebym cię tu więcej nie widział, durniu. A jeśli jeszcze raz kogoś tkniesz...

— Tak, dowódco! — Rudy strażnik, nazwany Falkiem, niezdarnie podniósł się z ziemi. Opuścił głowę i pośpiesznie ruszył w kierunku wejścia do jaskini wydobywki. Zdążył jeszcze rzucić Shepowi wrogie i pełne niewypowiedzianej groźby spojrzenie.

Wybawiciel, nazwany dowódcą, spojrzał uważniej na Shepa i mocniej zmarszczył czoło. Puścił ramię uzdrowiciela, po czym wymierzył mu siarczysty policzek grzbietem dłoni. Zabolało.

— Bierz się do roboty — warknął dowódca. Shep obrzucił go oceniającym spojrzeniem, pocierając policzek. Ciemne włosy do ramion, krótki zarost i orzechowe oczy. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. — Powinienem odciąć ci te parszywe ręce. Nie obchodzi mnie, że jesteś nowy i jeszcze do ciebie nie dotarło, jakie panują tu zasady. Nie masz prawa podnieść nawet palca na strażników! Rider! — zagrzmiął w kierunku drobnego mężczyzny, który pochyłał się nad ogniskiem. — Nowy dzisiaj nie dostaje żarcia.

— Ale...

— Morda. Jak piśniesz jeszcze słowo, to będziesz żałował, że jednak nie sprzął cię Falko. Won.

Właśnie tak Shep poznał Samira, dowódcę strażników w obozie wydobywki złotego kruszcu.



Podziemna kopalnia zapierała dech w piersi. Shep z otwartymi ustami podziwiał, jak pod kamienną kopułą rozchodziły się długie tunele, których ściany lśniły od wilgotnego, złotego surowca. Ich blask podkreślały dryfujące w powietrzu srebrzyste kule światła, które mystokraci rozmieścili w niewielkich odstępach. Na złocistych ścianach błąkały się pochylone cienie skazańców, co nadawało miejscu odrobinę upiorny charakter.

Złoty kruszec był najcenniejszy — to uzdrowiciel wiedział już od dawna. Obładowane wozy każdego dnia toczyły się powoli do samego serca królestwa, gdzie urobek przetapiano na wolary — walutę krainy Persey. Jego wydobywanie było jednak karkołomnym zajęciem, żmudnym i męczącym.

Shep lubił się uczyć i zapamiętał z lekcji na dworze, że wierzchnia warstwa pokrywająca ściany nie nadawała się do użytku — zjadała ją wilgoć, na którą kruszec był wrażliwy. Dlatego górnicy przebijali się kilofami przez pierwsze skorupy złota coraz głębiej i niżej,

podczas gdy ostrza ślizgały się po lepkich, ociekających wilgocią kamieniach.

Już w pierwszy dzień pracy zauważył, że im skazańcy brnęli dalej, tym mniej kruszcu lśniło między ścianami, natomiast pojawiało się coraz więcej ciemnego kamienia. Kiedy tylko wśród skał pojawiał się fragmencik złota, więzień, który miał najbliżej, musiał mozolnie wydłubać ten skarb.

Uzdrowiciel szybko pojął, że nie ma najmniejszych szans na to, żeby cały i zdrowy przetrwał najbliższy czas w kopalni. Pół dnia bezskutecznie walił kilofem w ścianę, jego ręce drętwiały z bólu, a nogi ugiwały się od wysiłku. Było duszno, parno, a wokół unosił się mdły smród potu i stęchlizny. Słyszał jęki i sapanie skazańców, pokrzykiwania i wybuchy śmiechu strażników, a niekiedy krótkie okrzyki bólu, gdy jakiś nieszczęśnik został brutalnie zmuszony do pracy.

Po całym dniu harówki ciało Shepa płonęło i odmawiało posłuszeństwa. Upadł na kolana, za co jeden ze strażników chętnie uraczył go kopniakami, a potem przywrócił do pionu solidnym szarpnięciem. Na szczęście inni zbrojni zarządzili koniec pracy. Skazańcy mieli rozejść się do chat na kolację, ale on wiedział, że zaśnie z pustym żołądkiem.

Gdy wyszli z kopalni, po raz pierwszy tak naprawdę rozejrzał się po obozie. Proste chaty w brudnobrązowym kolorze, smętne ognisko na środku placu, a wszystko to otoczone monstualnym murem z kruszejącego kamienia. Szaro, monotonna, bez życia.

Kiedy padł na posłanie, stwierdził, że niedługo umrze. Może i tak byłoby lepiej? Czym będzie jego życie w zapchlonym kopidołku, masowym grobie skazańców? Widział więźniów. Większość z nich wyglądała jak chodzące cienie, jeszcze zbyt silne, by się rozpuścić, ale za słabe, żeby przetrwać. Ich twarze przygnębione, przerażone, wściekłe. Zobaczył też kilku krzepkich osiłków, którzy trzymali

się hardo, ich mocno zaciśnięte usta wyrażały determinację, oczy rzucały ponure spojrzenia. Nie miał złudzeń, do której z tych grup on należy.

Poczuł dławiący lęk, więc prędko usiadł na posłaniu i schował twarz w dłoniach. Dopiero po dłuższej chwili wyrównał płytki oddech. Wtem usłyszał przytłumione głosy napływające z zewnątrz.

Skazańcy gromadzili się przy ognisku. Zaintrygowany wstał ostrożnie i wyjrzał przez dziurę, która zastępowała drzwi. Aż zamrugał gwałtownie, gdy usłyszał pojedyncze stłumione chichoty. Przez chwilę się wahał, ale w końcu wyszedł na zewnątrz. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, więc oparł się o ścianę swojej chaty.

Więźniowie siedzieli zgarbieni wokoło ogniska, które zapewne było jedyną atrakcją w obozie, i zjadali się kolacją. Trzech krępych i jeden chudy jak patyk, z grupy tych, którzy pewnie nie pożyją długo. Mimo to twarz chudzielca wyrażała spokój, błakał się na niej nawet uśmiech, gdy uderzał w struny lutni.

Nieopodal stali zbrojni, oparci o strażniczą siedzibę, od czasu do czasu rzucali leniwe spojrzenia w stronę skazańców.

— Słyszeliście wycie golemów w nocy? Zaczyna się godowy okres, wpadają w furję. Tylko czekać, aż patrol mystokratów przylezie na zwiady. — Do uszu Shepa dobiegł głos jednego z więźniów.

— Siedzą w tej swojej placówce pośrodku kopidołka i chleją wino. Niech przyleżą, też się w końcu do czegoś przydadzą — odpowiedział chudzielec, odkładając lutnię.

— Już wolę atak golemów niż nadęte mordy mystokratów... — wtrącił krępy skazaniec i dorzucił drewnienko do ognia.

— Srać na mystokratów — fuknął drugi tęższy.

— A niedługo ich posra. Cały kopidołek huczy od plotek. Ponoć mystokratom odkleja się klepka. Wariują tam na dworze. Ktoś gdzieś wyczytał, że to zwiastuje koniec świata.

— Dla mnie może się kończyć. Co to za życie. — Chudy lutnista podłubał chwilę w nosie.

— A jakże! I jeszcze demoniczne portale, powiadają, że otwierają się na całym świecie... — Najbardziej umięśniony z grupki splunął za siebie.

— Żeby nam czasem jakiś się tutaj nie otworzył.

— Wdupczymy tam strażników, mi tam pasuje.

Shep już chciał cofnąć się do chaty, gdy go dostrzegli.

— Ty, tam! Czego wyłazisz i podsłuchujesz? — Niechętnie odezwał się jeden z krępych z długą szramą na prawym policzku. Sepenił, musiało mu brakować większości zębów.

— Chciałem się przewietrzyć — odparł Shep. Jego serce przyspieszyło. Zrozumiał, jak żałośnie zabrzmiały wypowiedziane słowa.

— O, słyszeliście? A my czekaliśmy, żeby ponianńczyć żółtodzioba, prawda? Zbliź się, prowadzimy tutaj klub zasranych dyskutantów — fuknął pogardliwie ten, który wcześniej splunął.

Dłonie Shepa zwilgotniały od potu. Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, że rozmawia z mordercami, gwałcicielami i złodziejami. *Ostrożnie, tylko ostrożnie*, pomyślał.

Za późno. Skazańcy jeden po drugim już podnosili się z ziemi. Zupełnie jakby to wcześniej ćwiczyli, podzielili się na dwie grupki. Część z nich ruszyła z prawej strony ogniska, pozostali z lewej. Szli, stąpając powoli, w coraz gęstszej ciszy. Shep z trudem przełknął ślinę. Serce podeszło mu do gardła. Ręce tak mu się trzęsły, że ścisnął je w pięści, czuł, że lęk bierze górę. Postąpił chwiejny krok w tył, potem jeszcze jeden, aż wsunął się do chaty, ale nie na długo. Osilek ze szramą wszedł za nim, bez trudu wytargał na zewnątrz i rzucił obok ogniska. Uzdrowiciel padł na kolana, dłońmi szorując po ubitej ziemi. Obrócił głowę w prawo i błagalnie spojrzął na strażników. Ale ci zwróceni byli w innym kierunku.

Zrozumiał, że coś tutaj nie gra. To nie był przypadek. Możliwe, że jego obolałe ciało za kilka minut będzie w jeszcze gorszym stanie.

Jak znowu do tego doszło?

Fala wściekłości dała o sobie znać. Błyskawicznie przewrócił się na plecy i kopnął całkowicie na oślep.

I wtedy dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Usłyszał głuchy jęk jednego z osiłków. Prawdopodobnie trafił w czułe miejsce. Skazaniec zwałił się na niego, przygniatając go do ziemi. Shep z tej perspektywy widział, jak trzech więźniów stoi nad nimi z rozdziawionymi gębami. Wyglądali prawie komicznie i chętnie by się roześmiał, gdyby nie wściekłość kotłująca się w jego piersi niczym lawa. Do tego dochodził ciężar cielska osiłka, który zabierał mu właśnie resztki tchu.

— Wystarczy! — W tym samym momencie usłyszał krzyk. Przypomniawszy sobie dowódcę straży, który już dzisiaj uratował mu tyłek. Czyżby znowu?

Jednak w ich stronę zmierzał chudy, żylasty mężczyzna o ogorzałej twarzy. Jego związane w kitkę włosy przeplatały pasma siwizny, krzaczaste brwi marszczyły się złowrogo. Nie był młodzieniaszkiem, wyglądał jednak żwawo, a nawet groźnie. Przybrudzone szare spodnie i koszula w podobnym kolorze świadczyły o tym, że nie jest strażnikiem, a więźniem.

Osiłek zwłókł się z Shepa i klapnął obok z purpurową twarzą.

— Dajcie mu spokój. Nie wstyd wam? Znowu szczerzycie kły, zapomnieliście, jak byliście nowi i sami trzęśliście portkami. Macie swoje michy, zajmijcie się nimi — wycedził nowy, spuszczaając na Shepa niebieskie oczy pod oprószonymi siwizną brwiami.

— Trus, przecież on dał mi w jaja! — wyrzęził osiłek.

— Bronił się. A teraz won, ja z nim pogadam — uciał krótko żylasty mężczyzna.

Cisza zgęstniała. Shep ponownie rzucił okiem na strażników. Tym razem ich obserwowali, a ręce trzymali na rękojeściach mieczy. Dranie.

Po chwili ciągnącej się w nieskończoność krępy osilek westchnął ciężko i wstał z ziemi. Otrzepał spodnie, po czym skinął na pozostałych kompanów. Odwrócił się i pokuśtykał w kierunku chat. Za nim poszła reszta, rzucając Shepowi ostatnie niechętnie spojrzenia.

Mężczyzna nazwany Trusem westchnął. Przykucnął nad ogniem, wrzucił drewnienko w płomienie i stanowczo kiwnął głową do uzdrowiciela, by ten siadł obok.

— Chłopcze, pakujesz się w kłopoty. Przyciągasz je jak pieprzony mystokrata burzowe chmury. Obserwuję cię cały dzień i widzę, że pchasz się do grobu. Ale jesteś odważny. Impulsywny. Masz w sobie ogień.

— Pcham się do grobu? — zachnął się Shep. — Ja tylko nie chcę stracić głowy. Dzisiaj miałem starcie już z trzema osobami. To więcej niż przez dwadzieścia siedem lat mojego życia!

Bolał go każdy cal ciała, czuł w głowie nieprzyjemny ucisk, a zraniony policzek szczypał niemiłosiernie.

Trus uśmiechnął się pod wąsem. Rzucił okiem w stronę strażników. Shep również spojrzał w ich kierunku — jeden z nich leniwie zwijał dymne zioło, najtańszego blanta w krainie Persey, drugi gapił się w niebo. Shep zgrzytnął zębami i rzucił:

— Dlaczego mi pomogłeś?

— A dlaczego nie?

— Nie wierzę w dobre intencje. Nie w tym przeklętym miejscu. Czegoś chcesz. — Uzdrowiciel wrzucił patyk w żar ogniska.

— A może jednak mam wielkie serce?

— Dlaczego mi pomogłeś? Mów, czego chcesz — powtórzył z naciskiem Shep.

— Bystry jesteś — mruknął wymijająco mężczyzna. — Może i pożyłbyś tutaj dłużej, gdybyś nie był paniczem z królewskiego dworu, który pewnie wychodek miał z marmuru. Jesteś jak zabłąkana owieczka człapiąca w stronę stada wilków.

— Chyba mułów...

— O, to w punkt. Ale gdyby nie ja, pewnie nie usiadłbyś na tyłku przez najbliższe dni. I to nie tylko z powodu spuszczonego manta.

Shep z trudem przełknął ślinę, ale zachował kamienną twarz, gdy odpowiadał:

— To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że czegoś chcesz. A tak w ogóle sporo o mnie wiesz.

— Wieści szybko się rozchodzą, a plotki jeszcze szybciej. Zwłaszcza w miejscu, w którym jedyną rozrywką jest połykanie gównianej brei na wyrost zwanej kolacją. Tutaj informacje są cenniejsze niż wolary. — Trus zachichotał. — Skąd jesteś? Masz delikatnie ciemną karnację, czekoladowe włosy, ale oczy błękitne jak niebo.

— Matka pochodziła z pustynnych rejonów krainy Illet. Była Wielmożną... — odpowiedział niechętnie Shep. — Ojciec jest stąd, z Persey.

— Czyli płynie w tobie pustynna i magiczna krew. — Trus pokiwał głową, jakby to tylko potwierdziło jego przypuszczenia. Dorzucił do ognia kolejne drewnisko i rozprostował nogi ze stęknieniem. — Kraina Illet jest hen, hen daleko stąd, większość mieszkańców Persey nigdy nie postawiła stopy na pustynnej ziemi sąsiadów. Więc twój ojciec musi być wysoko postawionym uzdrowicielem pierwszego albo drugiego stopnia. Taaak, leczymordy bywają w dalszych zakamarkach świata. Ponoć nawet odwiedzają lud Wód Horyzontu, wiesz, ten, który mieszka na wyspach i drewnianych platformach. Słyszałeś, że tamtym ludem rządzą kobiety? Kto to widział... Przecież w Persey kobiety, nawet mystokratki, nie mogą piastować ważnych funkcji i...

— Tak, tak. To koniec przesłuchania? — przerwał z przekąsem Shep.

— Dobra, bo odbiegam od tematu... Skoro twój ojciec jest leczy-mordą, na pewno też się już szkolileś. Który masz stopień? Jesteś młody, pewno trzeci.

Shep przyjrzał mu się uważnie. Trus miał cięty język i przenikliwy umysł. Niebezpieczne połączenie.

— Dość. To już chyba nie ma znaczenia, kim jestem. Byłem — rzucił gorzko.

— Gdyby twój ojciec, podobnie jak matka, był mystokratą, również posiadłbyś moc. Ale związek przeciętnego śmiertelnika i kobiety władającej magią obudził w tobie tylko zalążek magii. Ogromna strata, ale i zysk... W końcu jesteś urodzonym uzdrowicielem. To i tak nie najgorzej, co?

Shep westchnął z rezygnacją. Nie miał ochoty dyskutować o rodzicach. Gdy przypomniawszy sobie zawiedzioną twarz ojca, jego żołądek ścisnął się boleśnie, a serce przyśpieszyło.

— Do czego prowadzi ta dyskusja? Nie żebym nie był wdzięczny za pomoc, ale w ogóle nie mam ochoty na pogawędkę o tym, czy jestem wystarczająco wysoko w hierarchii czy nie — rzucił trochę zbyt ostro. — Wiesz o mnie dużo, zbyt dużo.

— Nawet wiem, że trafiłeś tutaj przez kobietę — rzekł wolno Trus. Na jego ustach błąkał się uśmiešek.

— Na pewno zatem wiesz, która kobieta mnie tutaj... — chciał powiedzieć „wpędziła”, ale zrozumiał, że nie chce w ten sposób określać Lilet. Oczami wyobraźni zobaczył jej ogniste włosy i złote oczy. — Dość, nie mówmy o tym.

Zapadła cisza. Trus widocznie odpuścił.

— A strażnicy? Dlaczego udawali, że nie widzą, jak ta hołota próbuje mnie przerobić na sieczkę? — Shep znowu rzucił okiem w stronę dwóch mężczyzn stojących na warcie. Jeden z nich od

niechcenia wypuszczał obłoczki czerwonego dymu w stronę ciemniejącego nieba.

— Posłuchaj, chłopcze. — Trus ściszył głos i zaczął grzebać patykiem w ognisku. — Nie tylko my, więźniowie, tkwimy na tym zadupiu. Oni też. Spędzają tutaj tygodnie, zanim przywlecze się kolejna zmiana z zewnątrz. Codziennie oglądają ponure i złężnione twarze, palą trupy, podobnie jak my śpią na spleśniałych materacach, nie zjadają się królewskimi potrawami. Robią, co muszą, a tak naprawdę... robią jak najmniej. — Więzień wzruszył ramionami i strącił popiół ze spodni. — A strażnicy niskiej kasty mają, dosłownie, przesrane. Muszą nawet wyrzucać głównie z dołka, tego nibywychodka. Mało który ma większe ambicje, są tutaj dlatego, że ich mięśnie wielokrotnie przerosły to, co mają w głowie. Może oprócz Samira, ale to zupełnie inna historia. Rozumiesz?

Shep rozumiał, ale złość znowu dała o sobie znać.

— Dzisiaj poznałem tego całego Samira. Skądś go kojarzę, ale nie mogę sobie przypomnieć... Czym niby różni się od reszty?

— Samir został zdegradowany. Był dowódcą wojsk Głównego Sztandaru Miecza, prawdziwym galapos. Od kilku miesięcy jednak męczy się z tym ścierwem. — Trus uśmiechnął się pod wąsem i wskazał głową na liche chaty więźniów.

— Już wiem — prawie wykrzyknął Shep, po czym rozejrzał się niespokojnie. — Przecież kojarzę Samira z dworu! Co takiego zrobił?

— Naprawdę cię to interesuje?

Shep zastanowił się przez chwilę. Nie interesowało. Ale chciał dowiedzieć się jak najwięcej o tym zapchlonym miejscu.

— Nie, ale sam mówiłeś, że tutaj informacje są cenniejsze niż wolary. A będę ich potrzebował... Muszę uciec.

Trus znieruchomiał. Powoli odwrócił głowę w stronę uzdrowiciela i spojrzał z mieszkanką niedowierzania i rozbawienia.

— Zwariował, w dupę golema. Dostał w łeb kilka razy i bredzi jak upojony figlarz — powiedział Trus bardziej do siebie, kręcąc przy tym głową.

— Dlaczego? — zachnął się Shep.

— Po pierwsze, przymknij się, dzisiaj w obozie są mystokraci ducha, a licho wie, czy nie słyszą, co mówisz. A ja nie chcę obierać za twoją paplaninę. Po drugie, jak chcesz uciec z kopidołka? Zapomniałeś, że otaczają go demony mierzące z osiem stóp?

Shep uniósł brwi.

— I co, są niby takie groźne, że tylko czyhają na jednego, zbłąkanego skazańca?

— Tak, głupcze — fuknął Trus. — Demony to lepsza ochrona niż najsolidniejsze więzienne kraty. To wysłannicy Wielmożnych, najpotężniejszej gildii mystokratów. Nawet mystokraci ciemności, ducha i żywiołów, chociaż szanowani, nigdy im nie dorównają.

— Naprawdę nikt nie przechytrył demonów?

Trus pochylił się w stronę uzdrowiciela, a jego oczy zapłonęły od blasku ognia.

— Demony są niczym ogary uwięzione na uprzęży, które posłusznie wykonują rozkazy panów — wyszeptał. — Żaden skazaniec nie ma prawa wyślizgnąć się z kopidołka, ale oczywiście wielu śmiaków próbowało, oj tak. Dzięki tym głupcom krwiożercze potwory mogły liczyć na mięsną ucztę. Na granicach obozowiska piętrzą się stosy skruszałych kości. Część z nich z czasem zmieniła się w pył rozwiewany przez wiatr. Teraz są najsurowszą przestrogą dla żywych więźniów, bo ich widok jest barierą samą w sobie.

— Ale jak niby mystokraci trzymają te demony w ryzach? — zachnął się Shep.

— Poza tym, że jesteś rozpieszczony, widzę, że mało wiecie na tym dworze. Ale jakoś mnie to nie dziwi — odparł z przekąsem Trus. — Do powołania demonów zebrano tak wielu Wielmożnych, że nie

zmieściliby się w tym obozie. Połączenie ich mocy doprowadziło do powstania potężnej energii, a za taki wysiłek wielu z nich zapłaciło życiem. Każdy z Powołujących ma wyryty na grzbiecie dłoni symbol z krztyną tej potężnej magii, która narodziła się w trakcie powołania. Gdy demony widzą znak, są posłuszne jak baranki.

Shep poczuł ciarki na plecach, ale wyprostował się nieco bardziej i uniósł podbródek.

— Prędzej czy później komuś uda się uciec. To niemożliwe, żeby demony pilnowały każdego skrawka granicy kopidołka. Absurd!

— Nikomu nie udało się to przez dziesięć lat, od kiedy król zlecił Wielmożnym stworzenie tego obozu. One są wszędzie, chłopcze. A po każdym incydencie zostają tylko kości, sterta dziurawych koszul i spodni w szarym kolorze, zakurzone trzewiki, a czasami kupka zębów.

— Nie wierzę, żeby ludzie króla byli aż tak nieomylni. Naprawdę nie popełnili żadnego błędu? Wierzysz w to?

Trus nachylił się w stronę uzdrowiciela z nieco pogardliwym uśmiechem.

— Mało wiesz, chłopcze. Demony nie atakują tylko strażników i mystokratów będących w towarzystwie Powołujących. Są jak ogary w pełni posłuszne panom z wyrytym symbolem, po prostu lojalne do bólu. A kąsają o wiele mocniej niż jakikolwiek ogar, uwierz mi na słowo.

— To może wystarczyłoby zmusić jakiegoś Wielmożnego z symbolem, no tego Powołującego, do wyprowadzenia nas na zewnątrz. Wiesz...

— Na obłąkanego Tidele, przymknij się — syknął Trus, rozglądając się na boki. — Nie miał tak głośno jadaczka. Ciekawe, którego mystokratę? Może ty masz tylu znajomych Powołujących? Śmieszne. I musisz wiedzieć, że wyryty symbol na grzbiecie dłoni to nie wszystko. Król dobrze zadbał o to, by nikt właśnie nie wpadł

na głupi pomysł porwania Powołującego, żeby wykorzystać go do ucieczki. Bo demony wyczuwają nastroje swoich panów. Rozumiesz? Od razu wiedzą, gdy coś nie gra, wystarczy jedno słowo Powołującego, jego gest, podskórna niechęć. Naprawdę mało wiesz, chłopcze. Zbyt mało.

Shep spuścił wzrok, próbując ukryć lęk i narastające uczucie buntu. Nie pozwoli pogrzebać swoich ostatnich nadziei, a jeśli Trus pragnie wyzionąć ducha na tym padole, to jego wola.

Owszem, uzdrowiciel wiedział, że mystokraci są najpotężniejszymi ludźmi stąpającymi po ziemi. Bogowie obdarzyli ich magią. Mystokraci ciemności mogli korzystać z mrocznych sił boga mroku Tidele, mystokraci żywiołów z mocy boga sprawiedliwości Fatele, a mystokraci ducha czerpali siłę od samego boga jasności Ante. A do tego Wielmożni, którzy sięgali po energię wszystkich bogów — nad tą elitarną grupą górował już tylko król.

Ale to niemożliwe, by stworzyli idealne więzienie i nieomyłne demony. Nie mógł, a raczej nie chciał uwierzyć, że utknął w niewoli niczym prosię w chlewie. Jeszcze nie wiedział, jak ominie stado złaknionych cieplej, lepkiej krwi potworów, ale nie dokona żywota wśród morderców i gwałcicieli, nie zasłużył na tak trywialny koniec.

— Mam dość, chcę, żeby ten dzień się skończył — rzucił i wstał. Nie czekając na odpowiedź Trusa ruszył w kierunku zapleśniałej chaty.



ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia Shepa nikt nie uratował.

Gdy wyszedł z wydobywki kruszcu i był już nieopodal swojej chaty, poczuł bolesne szarpnięcie. Nie zdążył krzyknąć, bo potężna, sucha dłoń zasłoniła mu usta. Spróbował gryźć, ale bezskutecznie. Wymierzył kopniaka do tyłu. Natrafił na pustkę.

— I co teraz, paniątko? — szepnął mu ktoś do ucha. Poczul oddech, który przypominał zgniłe jabłka. — Kto cię teraz uratuje?

— Patrz, jak wierzga. Jak srożyca. Zresztą posturę ma podobną. — Kolejny rozbawiony głos. — Zaraz przekręcę mu te śliczną buźkę.

— Najpierw ja — syknął napastnik trzymający Shepa w stalowym uścisku. Teraz uzdrowiciel rozpoznał głos. To jeden z osiłków, ten, którego wieczorem kopnął w krocze. Struchlał. — A jak starczy czasu, to chętnie wydupczę ten dworski tyłek.

Shep szarpnął się, znowu bez skutku. Chociaż używał całej siły, na próżno. Napastnik obrócił go w swoją stronę jak kukiełkę i od razu wymierzył soczystego sierpowego. Drugi więzień złapał go w locie i przywalił mu w drugi policzek.

Uzdrowiciel jęknął i padł na ziemię. Ledwo zdążył zakryć głowę, bo był pewien, że dwa pierwsze kopniaki przetrąciłyby mu nos. Okropny ból przeszył jego plecy, gdy potężna noga uderzyła w lędźwie. Krzyknął i skulił się jeszcze bardziej. Zasypał go grad ciosów. Miał wrażenie, że minęła wieczność, nim jak przez mgłę usłyszał zdyszany głos nad głową:

— Strażnicy. — Ciosy ustały. — Spadamy.

Stracił przytomność. Odzyskał ją akurat w momencie, gdy jeden ze strażników ciągnął go niczym worek po szorstkim piachu. Potem bezceremonialnie rzucił na próg chaty i odszedł, pogwizdując.

Nazajutrz, całego posiniaczonego i obolałego, strażnicy zwlekli z materaca i skoro świt zagnali do kopalni. Nie czuł opuchniętej twarzy, plecy rwały go niemiłosiernie, a mięśnie paliły żywym ogniem. Trus o nic nie spytał, ale gdy spojrzał na uzdrowiciela, w jego oczach błysnęły ogniki gniewu. I współczucia.



Dwa dni po incydencie z osiłkami, jednego z więźniów pożarła gigantyczna dżdżownica.

Nadal obolały Shep włókł się noga za nogą z wydobywki, tym razem absolutnie pewien, że nie przetrwa tygodnia. Zemdlał kilka razy podczas pracy, co przypłacił bolesnymi smagnięciami batów i kopniakami od strażników. Każdy skrawek jego ciała płonął.

Kiedy wyszli z kopalni, strażnicy kazali im ruszyć pod mur, co skazańcy skwitowali pełnymi napięcia szeptami i pospuszczali głowy.

Minęli smętne chaty i zgaszone ognisko. Wtedy Shep usłyszał przerażający okrzyk. W popłochu wyteżył wzrok i zobaczył, jak dwóch strażników bezceremonialnie wrzuca nagiego więźnia do wykopanego dołu. Mężczyzna był tak chudy, że widać było każde jego żebro.

— Co do licha... — szepnął sam do siebie uzdrowiciel.

— Zakopują żywcem — mruknął pod nosem jeden z przygarbionych więźniów. — Poleży sobie trochę.

— Ale czemu? — Shepowi zdrętwiały usta.

— To jedna z kar — wyjaśnił więzień o pooranej bliznami twarzy. — Przeskrobał coś. Czasami strażnicy nie odkopują. Zazwyczaj tak. Ale to różnie. Nam każą patrzeć.

Shep poczuł, jak odrętwienie obejmuje już nie tylko jego usta, ale całe ciało. Bestialstwo. Nie miał jednak wyboru i razem z tłumem więźniów zbliżał się nieubłagalnie do kruszejącego muru.

Krzyki przybrały na sile, przypominały teraz wycie zarzynanego zwierzęcia. Pomiedzy nimi padały błagania. Shep z przerażeniem zobaczył koniuszki palców chwytające krawędź wykopanego dołu. Brudne paznokcie kilka razy przeorały ziemię. Strażnik beczceremonialnie nadepnął na dłoń więźnia, na co tamten zawył krótko, płaczliwie.

Skazańcy podeszli bliżej. Drugi wartownik pochylił się nad dołem. Shep widział, że przez chwilę szamotał się z wyjącem mężczyzną, po czym zamknął drewniane wieko dużej skrzyni. Zatrzasnął je na spusty i wyszczał:

— Nie szarp się, gnido. Jak rozwalisz skrzynkę, całą mordę zasypie ci ziemia i robale. A wtedy na pewno zdechniesz.

Szamotanie ucichło. Ze skrzyni dobiegało teraz tylko ciche łkanie.

— Zakopywać — rozkazał tęższy strażnik. Wskazał na kilku więźniów, a potem na łopaty. Mężczyźni ze spuszczoneymi głowami sięgnęli po szpadle i zabrali się do roboty. Posłusznie, bez słowa. Kupki ziemi z cichym odgłosem upadały na drewno.

Gdy skończyli, strażnicy nie pozwolili im odejść. Więźniowie musieli stać i patrzeć na świeżo usypany grób. Nadal słyszeli przytłumione przeraźliwe krzyki i szlochy. Shep pomyślał, że zaraz zwariuje. Spuścił głowę i zaciskając powieki czekał, sam nie wiedział na co. Minęła chwila, nim krzyki spod ziemi przerwał znudzony głos:

— Dobra, do chat... — zaczął strażnik, ale nie dokończył, bo ziemia zadrżała. Więźniowie uskoczyli do tyłu, kilku się przewróciło. Wszyscy jak jeden mąż odbiegli jak najdalej od pochowanego. Drżenie narastało, wibrowało pod stopami. Przypominało potężne grzmoty, ale zamiast na niebie, głęboko w trzewiach gleby.

I wtem kopiec eksplodował. W górę wystrzeliła wilgotna ziemia, drewniane drzazgi i ciało. Skazaniec niczym kukła wywinął w powietrzu koziołka. Wrzasnął przeraźliwie. Z dołu wyłoniła się pokryta śluzem, podłużna głowa. Przypominała złączone ze sobą pierścienie. Gęba się rozwarła, śluz chlapnął na boki, a po chwili więzień zniknął w paszczy gigantycznej dżdżownicy. Robał wpadł z powrotem do dołu, ziemia zadygotała, a w końcu wszystko ucichło. Całe to zdarzenie trwało może kilka sekund.

— Tonika drakońska... — wymamrotał pod nosem jeden z więźniów. — Dawno żadnego nie pożarła.

— Ostatnio zeżarła Fesa, dwie czy trzy trumny temu — odpowiedział jeden z osiłków, który spuścił Shepowi manto.

Strażnicy już zbijali więźniów w kupkę i kierowali w stronę chat.

— I znowu rozdupczyło nam drewnianą skrzynię! — sapnęła tęgi strażnik, podpierając się pod boki. — Szlag, musimy złożyć nowe zamówienie.

Shep zwymiotował.



Lilet wyglądała zjawiskowo. Płomienne włosy kaskadą spływały na jej szczupłe ramiona, długie palce gładziły jego policzek, a pełne usta rozciągały się w kuszącym uśmiechu. Mrużyła delikatnie skośne oczy, w których tańczyło blade światło świec — pasowało do jasnej skóry i siateczki drobnych piegów. Czyli jednak kopidołek był szalonym koszmarem, który już teraz nie miał żadnego znaczenia, bo znowu był z nią. Shep poczuł niewysłowioną ulgę, jakby z jego serca stoczył się głąz.

Za oknem rozciągało się atramentowe niebo, panowała niezmącona cisza, jakby cały świat zapadł w zimowy sen. Lilet nie odzywała się, leniwie błdziła wzrokiem po jego twarzy, a on całym

sobą chłonał błogi spokój. Rzadko rozmawiali, mieli ciekawsze zajęcia. Każdego dnia w innej komnacie.

Shep poprawił kosmyk włosów opadający na jej policzek. Uświadomił sobie, że od dłuższej chwili czuł nieprzyjemny niepokój. Kilka sekund później zrozumiał, że lęk tlił się w nim tak naprawdę od samego początku. O co chodziło? Wokoło przecież panowała niezmacona cisza... i chyba w tym tkwił problem.

Dziwne. Było zbyt spokojnie, nienaturalnie. Shep chwycił dłoń Lilet i zbliżył do ust. Zauważył jednak, że skóra ukochanej jest bledsza niż zwykle, nienaturalnie cieniutka niczym pergamin. Jego serce przyspieszyło, a ciało pokryła gęsia skórka.

Pośpiesznie spojrzał w górę, ale zamiast twarzy Lilet jego oczom ukazało się oblicze Fedrisa. Uśmiechał się szyderczo. Jego ciemne oczy aż kipiały od wzburzonej magii. Shep nie mógł odwrócić głowy. Zasłużył. Był przecież zbrodniarzem, musi odpokutować, ale nie chciał, naprawdę nie chciał... To płomienne włosy Lilet, kuszące spojrzenie żółtych oczu... O bogowie, czymże była jego zbrodnia w porównaniu do zła tego świata? A teraz topił się w oczach Fedrisa, oślizgłe macki beznadziei otaczały go zewsząd, a demony obozu kruszyły jego kości w stalowym uścisku i nie było ratunku, dla jego duszy nie było ratunku...



Usiadł na posłaniu, tłumiąc krzyk pięścią.

Rozejrzał się skołowany, po czym z rozpaczą zauważył, że nadal jest w rozpadającej się chacie, leży na cuchnącej pryczy, a na zewnątrz panuje ciemność. Niezdarnie schował głowę w roztrzęsionych dłoniach. Serce galopowało mu szybciej niż po prawdziwym spotkaniu z Fedrisem, pot spływał po skroniach, ledwo łapał oddech. Rozpaczliwie sięgnął do swoich najprzyjemniejszych wspomnień, jakby miały być tarczą przeciw koszmarom...



Patrzy wprost na niego. Salę balową po brzegi wypełniają dostojni szlachcice, możni, szanowani, wysoko postawieni. A ona patrzy tylko na niego.

Na początku czuje zawstydzenie niczym mały chłopiec, który dostaje pierwszego całusa od słodkiej rówieśniczki. Ale nie jest już małym chłopcem, miał niejedną kobietę, a piękne szlachcianki często wzdychały na widok młodego uzdrowiciela.

Ale to nie jest zwykła szlachcianka. Wodzi za nim wzrokiem najważniejsza dama na dworze. Królowa.

Jej ogniste włosy spływają na odkryte plecy. Śnieżnobiała suknia z aksamitu błyszczy w świetle magicznych kul. A oczy... Te przenikliwe oczy w kolorze miodu podążają tylko za nim, jakby był jedynym mężczyzną na uczcie. Uśmiecha się zachęcająco i unosi w górę swój kielich. Kiwa dłonią, żeby podszedł. Nie waha się ani przez ułamek sekundy.

Chwycił następne wspomnienie.

Leżą w jednej z komnat, która tonie w półmroku. Na stołku drży tylko jedna świeca. Doskonale wie, że mają niewiele czasu, zawsze mają go rozpaczliwie mało, ucieka im przez palce. Shep gładzi jej nagie plecy, odgarnia rude kosmyki włosów z twarzy. Lilet mruczy. Leniwie otwiera oczy i znowu obdarza go tym swoim nieco zagadkowym uśmiechem, który sięga oczu.

Chciał jeszcze, łaknął jeszcze więcej wspomnień.

I znowu znajdują się w komnacie, tym razem innej, bo zawsze zmieniają miejsce schadzki. W oczach Lilet błyszczą łzy. Mówi, cały czas mówi. Nie kocha władcy, brzydzi się nim, jest nieszczęśliwa. Marzy o prawdziwej miłości u jego boku, u boku Shepa. Mimo że ma dużo więcej przywilejów niż wszystkie kobiety w krainie, bo kobiety w Persey nigdy nie są tak poważnie traktowane jak mężczyźni, chciałyby być

zwykłą dziewczyną, tak bardzo chciałaby żyć z daleka od pałacu, dworu, podłych ludzi.

Uciekł do następnego wspomnienia, do ostatniego spojrzenia jej miodowych oczu.

Pyta Lilet, czy zechce z nim uciec. On jest w stanie zrezygnować z bezpiecznej posady uzdrowiciela i dworu, zrobi dla niej wszystko, nie pozwoli jej dłużej cierpieć. Lilet spogląda na niego zagadkowo i mówi, że teraz nie ma ochoty na rozmowę. Otacza go ramionami, zapachem wiśniowego wina, dotykiem płomiennych włosów. I wtedy drzwi komnaty otwierają się z hukiem...



Wdech, wydech, powoli. Dopiero po chwili, która dla niego trwała wieczność, opadł z powrotem na posłanie. Podejrzewał, że nie zaśnie, a nie chciał toczyć samotnej batalii z duszącymi myślami. Wstał bezszelestnie i ruszył w kierunku dziury wyjściowej.

Na zewnątrz zachłannie zaczerpnął powietrza. Pachniało dogasającym ogniskiem i suchą ziemią. Wyłapał ledwo wyczuwalną woń ciepłej nocy, która miała własny, niepowtarzalny charakter. Dopiero kiedy przyzwyczaił oczy do ciemności, dostrzegł postać powoli skradającą się w jego kierunku. Otworzył usta, a w tym samym momencie cień błyskawicznie rzucił się na niego. Padli na ziemię, a nieznajomy zatkał mu usta dłonią.

— Cicho, to ja, Trus. Nie krzycz. Spokojnie. — Usłyszał gorączkowy szept. Znieruchomiał. Próbował coś powiedzieć, ale ciężka dłoń mężczyzny nadal zatykała jego usta. Jęknął, oburzony.

— Tylko nie krzycz. Przecież nie zamierzam cię wydupczyć — zachnął się poirytowany Trus. — Potrzebuję twojej pomocy. To ważne, chodzi o moje życie. — Dopiero po tych słowach zwłóknął się z uzdrowiciela.

— Zwariowałeś? Co ty robisz? — Shep niezdarnie zerwał się z ziemi. Czuł, jak jego serce za wszelką cenę próbuje uciec z klatki piersiowej. Strach jednak szybko ustąpił miejsca uldze, że to nie żaden z osiłków, którzy spuścili mu manto.

— Jesteś uzdrowicielem... — wyrzucił z siebie Trus. Rozejrzał się niespokojnie, ale w okolicy chaty nikt się nie pojawił, nadal otaczała ich niezmacona cisza.

— Jestem uzdrowicielem trzeciego stopnia — fuknął Shep, marszcząc czoło. — Czemu pytasz? O co chodzi, myślałem, że...

— Wy, uzdrowiciele, znacie się na leczniczych roślinach i jadach, prawda? — spytał gorączkowo Trus, ignorując oburzony głos Shepa. — Macie w sobie uśpioną załączkę magii.

— Wiesz, że nie władamy magią... ale tak, jak powiedziałeś, w każdym uzdrowicielu tli się uśpiona forma magii, dzięki której leczymy lepiej niż osoby bez załączki. Doskonale wiesz, że jestem owocem związku kobiety władającej magią i zwykłego śmiertelnika, dlatego nie urodziłem się mystokratą. Ale lepiej powiedz, dlaczego...

— Śrać mystokratów, jesteś uzdrowicielem, a o to mi chodzi.

Trus po tych słowach uniósł przybrudzoną koszulę i nieco opuścił spodnie. Odwinął cienki i postrzępiony sznurek przytrzymujący na biodrze zabrudzoną szmatkę, która służyła za nieudolny opatrunek. Shep zobaczył ropiejącą ranę. Jej nabrzmiałe krwią brzegi płonęły purpurą. Skóra wokół rany przybrała niepokojąco karmazynowy odcień, jakby od wewnątrz trawiła ją gorączka.

Uzdrowiciel z sykiem wciągnął powietrze. Zranione miejsce wyglądało dokładnie jak po ukąszeniu poczwara, mocno jadowitego stwora z podziemi. Trusa musiało boleć jak diabli, trucizna rozkładała się w ranie powoli, a z czasem wędrowała prosto do serca. Shep wiedział, że bez szybkiej interwencji uzdrowiciela męczyzna umrze w męczarniach.